N° 17. **Kraków 27 kwietnia 1867.** **Rok II.**

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*.
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarni.

☛ Począwszy od **Nr 14.** odbierają wszyscy Prenumeratorowie z Poznańskiego i Prus „Kalinę“ przez księgarnią P. **Leitgebera** w Poznaniu.

Kartki o wychowaniu.

przez

Teresę Jüpner.

V.

(Ciąg dal. — patrz Nr. 12.)

Pojęcia, zwyczaje i obyczaje narodowe wypływają niewątpliwie z zasad zaczerpniętych u ogniska domowego, z bezpośrednich wrażeń, które tam mają swoje źródła; oto powód, dla czego potrzeba, aby matki zaczynały to wychowanie rdzenne, do którego one jedne mają klucz i mogą nad niém czuwać jak najdłużéj.

Zarody wszelkich późniejszych zboczeń, niezadowolenia, społecznych nierówności dadzą się zawsze wyśledzić w wychowaniu początkowém; drobne słabostki i nieuwagi, które się pomija, są jednak często ową niewidomą pleśnią, która zakorzenia w umysł przesądy i uprzedzenia i psuje harmonią stosunków społecznych i utrwala nieporozumienia. Idźmy do szczegółów.

Jednym z najpowszechniejszych błędów, które popełnia rodzicielska miłość — jest zbytek. Ciągłe podarunki, zabawki, elegancja, konfort w ubraniu do czego dziewczynki wcześnie przyzwyczajają, wszystko to wyradza zwolna powierzchowność zapatrywań, oglądanie się tylko na stronę zewnętrzną, odbiera ochotę do pracy na serjo, robi je egoistkami nieczułemi na niedostatki tych, którzy mają za mało dla zadosyćuczynienia potrzebom, a nic dla przyjemności. Te sukienki wykwintne, ściągające na siebie pożądliwy wzrok uboższych, obudzają nieznośną próżność i żądzę błyszczenia już w młodziutkich stworzeniach, obudzają pogardę dla rówienniczek ubranych skromnie i ubogo.

Jeżeli ten zbytek ma być rodzajem nagrody i oznaką miłości, to chybia zupełnie celu. Najpiękniejszą nagrodą jest serdeczny uścisk, wesołość, długie przechadzki na wolném powietrzu, jeszcze dłuższe pogadanki o tém wszystkiém co otacza i uderza młodą wyobraźnią. Wzajemność serdeczna w obcowaniu, i obcowanie z naturą to największe przyjemności i najlepsza szkoła.

Lecz dla was biedne dziewczątka miejskie przymuszone przebywać nieustannie w domach ponurych, zimnych i smutnych, o kiedyż nareszcie dostarczą wam domów jasnych, o świeżém powietrzu, z ogrodem i wodą, gdzieby była szkoła, gdzieby uczono dzieci ubogich i prostaczków, dzieci rodziców utrzymujących się z pracy rąk, które dzisiaj prawie powszechnie na poniewierkę są skazane, że ubóstwo nie plami, że i one należą do wielkiego narodu, [illegible] i użyteczności jest dla nich otwartą, [illegible] i bogactwo to przypadek nie zasługa, [illegible] powodu do wyróżnień; praca, cnota i [illegible] dyny konfort, którego ojczyzna żąda. — Przyzwyczajcie dzieci odziewać się w te blaski, niechaj te promienie ogarną wszystkie warstwy narodu. Póki zarody odróżnień, nieuzasadnionych wyższości będziecie zakorzeniać, póty nie mówcie o wychowaniu, nie mówcie o miłości ojczyzny, wy, którzy nie macie najprostszéj miłości bliźniego; wy, dla których praca jest igraszką, którzy nie umiecie pracować więc i cenić pracy nie umiecie.

VI.

W blizkim związku z próżnością stoi miłość własna. Szlachetnie podniecana przykładem wzorowych rodziców, jest ona bronią wielce donośną, ale trudną i niebezpieczną zarazem; aby nią robić, wielce umiejętnéj potrzeba do tego ręki. Przytępienie bowiem miłości własnéj może być równie szkodliwe jak i wygórowanie jéj.

Być pożytecznym, oto jest zadanie zarówno mężczyzny jak i kobiety. Zadowolnić uczucie miłości własnéj przeświadczeniem o wartości swojego życia, nie oglądając się na poklask i uznanie, oto jedyna droga do nieprzemiennego szczęścia. Użyteczność dla drugich, dla kraju, jest zarazem użytecznością dla siebie samego, jak skoro daje wewnętrzne zadowolenie i spokój, a nadto utrzymuje życie w ruchu i trzeźwości.

Pożyteczność obywatelska kobiety nie mniejszą jest jak mężczyzny; wszelka praca jest równą drugiéj; czy to zakres działania domowy, czy umiejętny, czy publi-

czny, od wszystkich zarówno zależy dobrobyt i wartość ogółu społeczeństwa.

Nie ubliżając wartości kobiet, zwłaszcza Polek, niemniéj jednak wyznać muszę, że miłość własna u nich rozwiniętą jest najwięcéj na jednym punkcie, a tym jest piękność i chęć podobania się. Czyż nie jest to powszechném, że młode dziewczątka zaprzątają zawczasu strojami i kładą im ciągle w uszy, że trzeba się starać o to, żeby ładnie wyglądać — oczywiście dla drugich, nie dla siebie. Piękność, nadobność, jest to rzecz ponętna, ona téż najpierwéj do ludzi przemawia. Toż nic dziwnego, że miłość własna chwyta za tę broń, a w następstwie wyradza się z tego zalotność. I widzimy jak ta chęć podobania się, zrobienia efektu zabiera mnóstwo czasu, umysł robi dziwnie lekkim (czasami lekkomyślnym), otwiera uszka na słuchanie szeptanych pochwałek, komplementów; zamąca nieraz spokój niepotrzebnemi zazdrostkami względem rówienniczek i w końcu wdzięk naturalny jakimś sztucznym pokostem oblicza i psuje; a nadto nudami zagraża.

I tutaj obok błogosławieństwa jaki spływa z ciągłéj pracy, z ciągłego zajęcia, które nie pozwala myślom puszczać się luzem — i tutaj wielce pożądanem jest obcowanie z przyrodą. Niechno się panienki zajmują ogrodem, zwierzętami domowemi i t. d., a nie przejdzie im przez myśl pamiętać ciągle o pretensjach toaletowych. Pamiętajcie na Zosię w ogródku, z zakręconemi papilotami! Jak najwięcéj w słońcu i z przyrodą, a myśl będzie pożytecznie zajętą i swoboda kształtów zachowaną. I pamiętajcie, że im więcéj zrobicie dziewczynę naturalną, łagodną, dobrą dla biedniejszych, pobłażliwą dla służących, tém mniéj będzie miała późniéj wstępując w towarzystwo pretensyj, uprzedzeń, szorstkości, przykrości niepotrzebnych, słowem, tém mniéj fałszywéj miłości własnéj, a tém więcéj wdzięku. Dobroć i łagodność, skromność i praca są nietylko ewanielicznemi cnotami, ale nadto zachwycającym przymiotem w kobiecie światowéj. (Dok. n.)

Nie ideały.

(Dokończenie.)

Gdzież więc ten ołtarz co się wiecznie pali
Ogniem Westalek? — gdzie święte ofiary?
Prowadźcie! niechaj u progu walhali
Uklęknę jeszcze — niech tajemnic czary
Pełnią się ze mną. — Zegnijcie kolana,
Wśród dymu ofiar zstępuje kochana!

Niebo się całe ubiera gwiazdami,
Gdzieś na jeziorze marzą lilije wodne...
Kochanko moja, patrzaj! — my znów sami,
Obłoki płyną jak wtenczas pogodne,
Twój pocałunek zamknął mi powieki —
Już cię nie widzę — a czar trwa na wieki!

Echo powtarza przysięgi... jam senny,
Kapłanki rzućcie myrry na ołtarze! —
Niech się dym wzbija — czuję żar płomienny,
Co pada w serce moje, niechaj marzę —
Niech usta zwilżę w nektarach Platona —
Gdzie są Westalki? — gdzie czary? — gdzie ona?

Paryż w czerwcu 1866. ALEKSANDER.

W Nrze poprzedzającym należy poprawić omyłkę, zwrotka druga, wiersz pierwszy: zamiast Genua czytaj Gemza".

Tragedyja grecka w góralskiéj chacie.

(SZKIC POWIEŚCIOWY)

osnuty na prawdziwém zdarzeniu.

(Ciąg dalszy.)

A że bratu ufał jak sobie, więc zwierzył mu się ze wszystkiego i prosił go, by razem poszli szukać w lasy. I stało się tak.

Jednego dnia o świcie wyszli z chaty niby na polany. Kuba wziął motykę, Jan nie wiedzieć dla czego, zamiast motyki wziął siekierę.

— A tobie siekiera na co? spytał Kuba, gdy na chwilę spoczęli w lesie.

Jan się zmięszał i nie patrząc w oczy bratu mówił, że się omylił, że wreszcie siekiera przydać się może, bo wypadnie pewnie ciąć w ziemi konary drzewa. Na tém urwała się rozmowa i poszli daléj. Nad wieczorem byli już na tropie do modrzewia, wszystko zgadzało się z tém, co dziad gadał. Znaleźli skałę białą wśród lasu, na któréj kołysały się brzozy. Za skałą potok, za potokiem gęsty las pełen powikłanych gałęzi, jałowcowych krzaków — za tym lasem miała być rozpadlina, którą idąc, dochodziło się do małego źródła — a o dziewięć kroków od źródła miał być ów modrzew.

Im bliżéj byli celu, tém Jan więcéj był roztargnionym, na zapytanie brata odpowiadał nieprzytomnie, a oczami niepewnie rzucał po stronach.

— Siądźmy na chwilę — rzekł Kuba — taki mnie dziwny lęk wziął w tym samotnym lesie i smutno mi czegoś.

— Chodźmy, chodźmy — nalegał Jan — już ciemno.

— To nic, wziąłem krzesiwo, będziem pracować w nocy. Ale czego ty tak drżysz Janku?

— Zimno mi.

— A spotniałe masz czoło. Odpocznij.

— E to nie; chodźmy — mówił tak patrząc w ziemię.

Kuba podniósł się i poszedł naprzód.

— Kuba, — odezwał się po chwili Jan, głosem suchym, ochrypłym — co ty zrobisz z temi pieniądzmi?

— A no zaniosę do klasztoru, tożem przysięgał na to.

— Wszystkie?

— A wszystkie, chyba te w szmatce nie.

— To musi być nie wiele tego.

— Ano, cóż robić!

Rozmowa znowu się urwała. Kuba to o to, to o owo zagadywał brata, ale ten krótko mu odpowiadał był zamyślony, czasami tylko podnosił oczy i okropnie dziwnie idąc za nim, przypatrywał się bratu.

— Kuba, — odezwał się znowu Jan.

— Kuba stanął — Jan przełknął ślinę, co mu tamowała głos.

— Kuba, my moglibyśmy być bardzo bogaci.

Kuba spojrzał na brata trochę litośnie, trochę pogardliwie.

— Jonku, ciebie złe jakieś kusi.

Jonek się rozśmiał nieszczerze, jałowo!

— Ot, tak mi coś przyszło do głowy — rzekł i przygryzł wargi i skrzywił twarz dziwnie okropnie, Kuba tego wszystkiego nie widział, bo szedł przodem.

Gęsty las się przerzedzał — zaczynały się liściaste krzaki — dwaj bracia zsunęli się w rozpadlinę. Wtedy Jonek z nienacka uderzył z tyłu siekierą brata. Kuba po uderzeniu krwią już oblany obrócił się jeszcze, spojrzał przerażonemi oczami na brata

— Bracie, bodaj cię.... nie dokończył przekleństwa, padł i stoczył się na dno rozpadliny.

Jonek wyrwał konającemu z zastygłych rąk motykę i uciekał z tego miejsca pod modrzew. Tam z pośpiechem i niepokojem, zwyczajnie jak człowiek, który ma złe sumienie, począł kopać ziemię i szukać pieniędzy. Wykopał kilka głębokich dołów i — nic nie znalazł. Ręce mu już opadły z umęczenia, kroplisty pot wystąpił na rozpalone czoło: ale nadzieja znalezienia skarbu, nie pozwalała mu ustawać. Kopał jeszcze dzień cały — i nic nie znalazł. Głód, umęczenie i jakiś lęk dziwny, nie pozwoliły mu zostać drugą noc w lesie — wrócił więc do domu. Żonie, która się pytała o Kubę powiedział, że Kuba poszedł w doliny. Cały wieczór nie mówił nic, był niespokojny i roztargniony, wcześnie położył się w łóżko, ale nie spał, całą noc rzucał się i przewracał niespokojny. Rano zerwał się i poszedł znowu do lasu. Wieczorem wrócił, był zmęczony i osłabiony, wzrok miał dziki i błędny, a na zapytania żony odpowiadał nieprzytomnie. To przestraszyło kobietę. Kiedy więc i trzeciego dnia wyszedł nie mówiąc dokąd idzie — poszła za nim, śledząc go pilnie zdaleka. Jan szedł prędko nie oglądając się — znając już drogę prędko doszedł do rozpadliny i zsunął się na dół. Żona straciwszy go z oczów, szła za szelestem gałęzi, zobaczyła, jak Jan wziął motykę i kopał i czegoś szukał w ziemi. Koło modrzewia czerniły się świeżo wykopane doły. Jan pracował już z rozpaczą — myśl, że zabił brata i napróżno, przerażała go. Kobiecina chciała się zbliżyć, by lepiéj wyrozumieć o co idzie mężowi, gdy wtém odchylając gałęzie, co jéj drogę tamowały, utknęła o coś miękkiego na ziemi, spojrzała pod siebie i zobaczyła trupa Kuby z rozpłataną głową. Wrzasnęła okropnie, przeraźliwie i chciała uciekać, ale przerażenie pomięszało jéj zmysły, zaplątała się jak ptak między gałęziami i wrzeszczała. Nadbiegł Jan przestraszony.

— Zbójca, zbójca, ratujcie! — wołała kobieta dygotając i poczęła uciekać do wsi.

Jan stał chwilę osłupiały, nieprzytomny, jakiś straszny zamiar przyszedł mu do głowy, bał się, by szalona baba nie roztrąbiła po wsi jego zbrodni i poleciał za nią. Niedługo dał się słyszeć w rozpadlinie krzyk, a raczéj jęk bolesny — potém ucichło i Jan wrócił do domu wieczorem, bez brata, bez żony i bez pieniędzy. Czy który ze zbójników pierwéj już wykopał pieniądze — czy téż taki już był dopust Boży na ukaranie łakomego człowieka — trudno zgadnąć; dość, że skarbu nie było. Ten zawód okropny i z drugiéj strony podwójna zbrodnia, przygniotły go i zgnębiły — chodził, jak człowiek bez duszy, ponury i milczący. Ludzie we wsi wytłómaczyli sobie to smutkiem po zniknięciu żony, o którém różnie gadano. Byli i tacy, którzy mówili, że Janowa sprzyjała Kubie i że oboje gdzieś razem powędrowali i litowano się nad Janem.

Od tego czasu Jan nie pokazywał się wiele między ludźmi, siedział w domu, lub pracował w polu — z każdą wiosną schodził w doliny za zarobkiem i zawsze nie mało grosza przynosił. We wsi już naprzód obliczano, wiele syn Jana będzie miał dostatku i niejedna dziewczyna mizdrzyła się do młodego. Tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich Jan za uzbierane pieniądze postawił ową kaplicę przy drodze, siadł przy niéj jako proszalny dziad, żyjąc z jałmużny, a synowi zostawił tylko chatę i trochę jałowego gruntu. To go jeszcze bardziéj podniosło w oczach wszystkich, ludzie nie mogli się nagadać o jego pobożności, tylko ksiądz proboszcz, który znał dobrze grzeszną duszę Jana, surowe i poważne zachowywał milczenie wśród téj chwalby ludzkiéj. Dopiero, kiedy zaniemógł ciężko, zrobił przed gromadą wyznanie tego, com panu opowiedział. Przedtém bał się to uczynić z obawy kary. Doczekał się, jak dom jego syna nocą zgorzał i syn niemogąc się wyratować z płomieni, spalił się — a był to właśnie ojciec starego Marcina, którego widzieliście dziś przed chatą. Jego samego matka z trudem wyniosła z płomieni, ale rozum tam zostawiła. Oszalała z przerażenia. Widziałeś ją pan zapewne na moczarach. Odtąd złe czepiło się téj rodziny i trapiło ją. Mówią ludzie we wsi, że każde z niéj musi być albo waryjatem, albo zbójem. Otóż macie przekleństwo brata.

W sam czas stary skończył opowiadanie, bo w półgodziny potem zaterkotał wózek na drodze i ksiądz wrócił od chorego.

Na drugi dzień (a była to niedziela) zobaczyłem

Hankę w kościele. Nie trudno było ją poznać, tak się odróżniała od innych, nie tyle ubiorem, ile to powagą smutku i bladością twarzy. Nieszczęście rodziny stało wypisane na téj twarzy. Z zajęciem przyglądałem się modlącéj. Uważałem, że gdy wychodziła z kościoła, dziewczęta stroniły od niéj — nawet żaden z parobków nie przysunął się, choć była dziewczyna dorodna i bogata.

— Dziwny ten wasz lud — rzekłem do księdza przyszedłszy do domu — za winy pradziada, które mi się i tak legendowe i nieprawdopodobne wydają, tak srodze karze prawnuki.

— O kimże mówisz? spytał mnie.

— O Hance Palikównie.

— A! Nieszczęśliwa to cała rodzina, nieszczęście jak chwast rozpleniło się w ich domu, poplątali się i zgubili wśród złego, tam zbrodnia rodzi zbrodnię — nieszczęście jest matką różnych nieszczęść. To też ludzie stronią od nich, nawet cnotliwe życie Hanki nie przyciągnęło do niéj nikogo, nie starło strasznego piętna z jéj czoła. Litują się, ale stronią od niéj. Lud mówi, że i ją czeka nieszczęście — bo jest przeklęta.

— Za winy pradziada? spytałem z gorzką ironiją.

— Nie, za winę ojca. Ty nie słyszałeś o tém? Posłuchaj!

Było to w pierwszych miesiącach mojego tutaj przybycia. Przewędrowała wtedy z Węgier cygańska banda. Nadciągnęła do wsi, wśród szczekania psów i zbiegowiska ludzi. Ale, że u nas nie bogato, nie zabawili długo i powędrowali ku Krakowowi. Zostawili tylko chorego cygana, który nie mógł już wlec się za bandą. Została przy nim stara cyganka, podobno matka jego, żółta, pomarszczona — i mały kędzierzawy chłopak, może syn jego. Stara dymiąc ustawicznie z krótkiéj fajeczki doglądała chorego i pomagała mu po swojemu tj. donosząc mu co chwila wódkę z karczmy. Małe cyganiątko latało koło moczarów bawiąc się różnie, lub żebrząc po wsi.

Zdarzyło się nieszczęśliwym przypadkiem, że łąka na któréj zaniemógł cygan należała do Marcina Palika i była opodal jego chaty. Marcin nie cierpiał ludzi, odraza, jaką ludzie mieli do jego rodziny, zrobiła go złym i ponurym, nieszczęście matki, która była pośmiewiskiem wsi całéj, gryzło go i martwiło. Stronił od ludzi tak, jak i oni od niego stronili i nigdy żaden z sąsiadów nie zbliżał się do chaty jego. Kiedy teraz dowiedział się, że jakiś cygan pełen szkaradnych wrzodów leży na jego łące, zawrzał gniewem, zdawało mu się to strasznem urągowiskiem, że jego pole omijane przez ludzi, tylko zdychającym cyganom za gościnę służyć może — wybiegł więc z chaty, chwycił cygana i zrzucił z łąki do rowu i kopnął pono nogą. Trzeba było słyszeć wtedy, jaki wrzask zrobiła stara cyganicha, jak za ten nieludzki uczynek wyrzucała przekleństwo po przekleństwie z oślinionych ust, jak chude żylaste jéj ręce ściśnięte w kułak trzęsły się i odgrażały Marcinowi. Zatkał uszy i uciekał do chaty, chroniąc się przed złorzeczeniem cyganki. W progu usłyszał jeszcze jéj słowa:

— Bodaj ty jak pies skonał.

— Lud nasz jest przesądny, wierzy w czarowną potęgę cyganów, szczególniéj w ich groźby i przekleństwa — to też i Marcin wróciwszy, uczuł niepokój i wyrzuty sumienia. Widział, że źle zrobił i myślał, jakby to naprawić, jakby cofnąć z nad swojéj głowy przekleństwa cyganki, które go straszyły. Wyszedł więc przed wieczorem do cyganki i kryjąc wstyd pod opryskliwość, odezwał się:

— No i długo wy tu tak leżeć będziecie?

— I cóż, może ci i tu zawadzamy psi synu, bodaj i ciebie.....

— Cicho babo nie klnij, tém nic nie wskórasz; chcesz, to zaprzęgnę do wózka i zawiozę ci twego syna do szpitala, tam mu będzie lepiéj, bo będzie miał jakietakie opatrzenie i wygodę.

Cyganicha rozśmiała się złośliwie i wyszczerzyła żółty ząb jedyny, jaki jéj został.

— Ha, jaki ty mądry, boisz się, by ci nie przyszło grzebać cygańskiego trupa.

Marcin nie czekając na przyzwolenie, poszedł i zaprzągnął. Z trudnością wsadził z pomocą staruchy cygana na wóz, cyganicha siadła w głowach chorego, a małe kędzierzawe cyganiątko biegło za wozem. Ludzie we wsi złośliwie przypatrywali się temu, śmiali się, że Marcin furmani cyganom. Marcin czerwienił się, złościł i wstydził, ale cofnąć się już nie było podobna, bo jak tu pozbyć się z wozu cygana.

Za wsią cygan oprzytomniał nieco, obejrzał się, co się z nim stało i spytał matki, gdzie go wiozą.

— Do miasta, do szpitala.

— U niechcę, niechcę — odezwał się przeciągle grubym głosem — duszno tam, ciasno, ja tam umrę. Do lasu, do lasu matko.

Cyganicha chciała go przekonać i uspokoić. Cygan się rzucał, chcąc się podnieść, wyjść, ale niemoc go więziła. Wreszcie zebrał ostatek sił, podrzucił się całém ciełskiem w górę tak, iż wypadł z wozu i stoczył się w rów przy drodze. Marcin rad był temu w duszy, druga wieś bowiem była blisko, a tam znowu czekałyby go szyderstwa i śmiechy ludzi; rychło więc cygan stoczył się z wozu, on nawrócił szybko, zaklął i wrócił pędem do wsi. Choć wóz turkotał mocno po kamienistéj drodze, przecież Marcin słyszał dobrze, jak cyganicha za nim wołała:

— Bodaj ty jak pies zginął.

Po wsi wnet rozeszła się wieść o przekleństwie cyganki, ludzie ślepą wiarę w to położyli i dla tego za nic w świecie nie namówiłbyś żadnego parobka we wsi, by przez żeniaczkę wszedł w tę rodzinę.

Opowiadanie księdza jak i ojca jego, wzbudziło we mnie zajęcie i współczucie dla téj rodziny, którą jakieś fatum podawało nieszczęściom z rąk do rąk, żal mi było szczególniéj Hanki, tyle cierpiącéj nie za swoją winę, a znoszącéj to wszystko z jakimś rezygnacyjnym spokojem i posągową obojętnością. Chciałem bliżéj poznać tę nową rodzinę Atrydów, wyższą nad resztę ludzi w siole wielkością zbrodni i nieszczęścia i tego samego dnia poszedłem w stronę ich mieszkania.

Marcin siedział opodal od chaty pod śliwami, kiedy widział mnie zbliżającego się wprost ku niemu wstał i chciał wejść do chaty. Zatrzymałem go powitaniem:

— Niech będzie Chrystus pochwalony.

— Na wieki.

— Gospodarzu — nie dostałby u was mleka?

— Nie, nie dostanie.

Potem zawachał się i dodał: ha, może, czekajcie. Hanka! — zawołał.

Dziewczyna wyszła z chaty, poznała mnie i skinęła głową na powitanie uśmiechnąwszy się, choć uśmiech ten był smutny i jakby wymuszony.

— Dostanie mleka? — spytałem.

— Je! a czemużby nie — i poszła do chaty. A ja tymczasem zagadnąłem ojca i rozpytując się o to i owo zdołałem rozgadać starego. Kiedy Hanka wyniosła mleko, my już na dobre rozmawiali, siedząc pod śliwami. Wyczytałem w oczach dziewczyny, jak mi była wdzięczna za ojca. Gdy chciałem jéj płacić, cofnęła się i rzekła:

— A tożby nam jeszcze należało podziękować wam, żeście naszym domem.... Niedokończyła, bo ojciec spojrzał na nią surowo, wróciła do chaty — a my gwarzyli daléj. Marcin mówił o córce, z rozmowy widziałem, że pod tą szorstką i ponurą powłoką, było serce czułe, jeno, że kąsane od ludzi skurczyło się i schowało jak ślimak w skorupę. Już dobrze się zmierzchło na polu, kiedy od strony wsi przyleciała waryjatka, musiano ją rozdrażnić, bo się rzucała gwałtownie i miała więcéj dzikości w twarzy. Przeleciała koło nas i wpadła do chaty. Za chwilę dał się słyszeć gwałtowny krzyk Hanki:

— Ratujcie, ratujcie, na miłość Boską ratujcie, bo zdusi.

Chciała widać więcéj krzyczeć, ale głos nie mógł już przejść przez ścieśnione gardło. Marcin się zerwał i wbiegliśmy do izby. Przy blasku ognia, co płonął na kominie ujrzeliśmy, jak stara waryjatka chudemi rękami ściskała gardło dziewczyny, która już posiniała na twarzy. Nie było co się namyślać — Marcin rzucił się między nie i począł się szamotać z matką, która w napadzie szaleństwa miała niezwykłą siłę. Wreszcie udało mu się odczepić ręce staréj od szyi córki, szarpnął ją i odrzucił z siłą na bok. Nieszczęście chciało, że waryjatka potoczywszy się, uderzyła skronią o krawędź skrzyni — jęknęła raz tylko i nie ruszyła się więcéj. Przybiegłem do niéj z ratunkiem, ale naprożno. Okropną była ta scena, oświecona krwawym ogniem. Trup waryjatki, Hanka zemdlona na ziemi, a wśród nich góral osłupiały, przerażony, z rękami podniesionemi do góry, które mu zesztywniały od zgrozy. Ja sam przez chwilę byłem jak przykuty do miejsca tragicznością téj chwili. Wreszcie opamiętałem się — ocuciłem Hankę i wyprowadziłem ją na pole; potem wróciłem do Marcina i wziąłem go za rękę. Szedł za mną, jak dziecko bez oporu — radziłem mu usiąść — usiadł, ale nie mówił nic i w sztywnych oczach wciąż malowało się przerażenie. Hanka rzuciła mu się na kolana i zanosiła się od płaczu. Ten płacz zrywający piersi, poruszył starego, westchnął ciężko i rzekł cicho, smutnie:

— Ha! — darmo!

Późno w noc wróciłem do domu i opowiedziałem księdzu straszny wypadek; dano znać do powiatu, zjechała komisyja na śledztwo, ja jako obecny przy całém zdarzeniu stawałem na świadka i opowiadałem wszystko, bo od Marcina trudno było słowo jakie wydostać. Stał się jeszcze bardziéj milczący i ponury; sam wyciosał trumnę dla matki. Nie wiem, czy znacie kształt trumien góralskich? Jest to poprostu podłużna, prostokątna paka, na któréj w głowach czarny, lub czerwony krzyż malowany. W taką trumnę włożono ciało.

Na pogrzebie było ludzi nie wiele. Hanka płakała głośno, Marcin milczący, spokojny szedł za trumną. Niebo było pochmurane, a powietrze parne. Na pagórku cmentarza pochowano ciało staréj waryjatki.

W parę dni potem wyjechałem do Krakowa.

(Dok. nast.)

Z PRZYRODY.

Djamenty.

(Ciąg dalszy.)

Miejsce obfitujące w djamenty w Brazylii, leży na południe między Minas-Geraes i Bahią; po największéj części znajdują je w korytach rzek. Jako oznakę uważają kamień: *Ita columit* albo *Chlorit*, zniszczony przez czas i wylewy, a resztki uprowadzone z wodą, zawierają w sobie djamenty i to zawsze w dobrém towarzystwie, bo złota i platyny. Rzeka *Jequitinhonha* najbardziéj w nie obfituje. W czasie suchéj pory roku, która trwa od kwietnia do połowy października, zastawiają wodę, a wybrany szlam, na 6-10' głęboko, składają na kupy, ten potem w czasie mokréj dopiero pory, negry płuczą.

Używane przy takiém płukaniu naczynia *canoes* nazwane, stawiają jedne koło drugich, a dozorca na wzniesioném staje miejscu, ażeby dobrze wszystko mógł widzieć. Do każdéj takiéj *canoe*, neger wkłada z pół

cetnara tej szlamowatéj ziemi, wpuszcza wodę i naczyniem porusza tak długo, póki woda nie wypłucze wszystkich części ziemnych i czystą nie odpływa. Wtenczas przepatruje pilnie wszystkie pozostałe kamienie, a jeżeli znajdzie djament, klaszcze w dłonie, by zwrócić uwagę dozorcy, który zaraz djament bierze i wrzuca do zawieszonego na środku naczynia z wodą. W czasie takiéj pracy, dozorca nie próżnuje, ale okłada kijem negrów, tak dla zachęcenia ich do pracy, jakotéż, by lepiéj uważali. Z końcem dnia, znalezione djamenty oddają nadzorcy i ten je wpisuje w książkę.

Brazylija rocznie dostarcza jakie 30,000 karatów (około 13¹/₁ funtów), surowych djamentów. Po odkryciu djamentów w Bahii w przeciągu dwóch lat, przywieziono do Europy 600,000 karatów (263 funty), w r. 1853 wywóz zmniejszył się znacznie, bo 130 tysięcy karatów ($57^1/_{10}$ funta) przywieziono, w roku jednak 1856 znów się powiększył na 320000 karatów ($140^1/_2$ funta). Ale te liczby tracą na wartości i to nawet bardzo, bo trzeba wiedzieć, że na 30 tysięcy karatów, zaledwo z tych 800 karatów (11-12 lutów), dobre są do szlifowania. Według zrobionych obliczeń przekonano się, że na 10 tysięcy rzadko więcéj, jak jeden ma 20 karatów, a 8 tysięcy najwięcéj jeden karat liczy. W rzece *Jequitinhonha* w ciągu roku najwięcéj dwa lub trzy kamienie znajdują, któreby miały 17-20 karatów. W całéj Brazylii w przeciągu dwóch lat znaleziono tylko jeden, mający 30 karatów. Od roku 1851 znaleziono dopiero cztery większe kamienie, u źródła rzeki Patrorinho, jeden o 120 karatach, w Rio del Velhas drugi o 107 karatach, w Chapada trzeci o $87^1/_4$ karatach, czwarty największy, jaki się dotąd znalazł w Brazylii, o 254 karatach, nazwany „gwiazdą południa“.

Praca przy zbieraniu tych kamieni jest bardzo wielka, a całoroczny zbiór, który tyle potu i trudu kosztował, jedną ręką podnieść można. Wielu to ludzi ginęło przy téj robocie, szczególniéj przy takiém wybieraniu szlamu z koryta rzek, w czasie skwaru słońca w suchéj porze roku, grzebano ich tam zaraz w cieniu pięknych orchideów, na które za życia tylko zdaleka patrzeć się mogli, pozostali nieszczęśliwi, zazdrościli im losu. Pozostałe luki wypełniano nowymi niewolnikami, kradzionymi na brzegach Afrykańskich. Podziwiając piękny taki kamień, mało zapewne pomyślało, wiele łez, złorzeczeń, wiele ludzi pierw śmierć poniosło, zanim go znaleziono. Dziś ze zniesieniem niewolnictwa, poszukiwania takie się nie opłacają, nie prowadzą ich też już na taki, jak dawniéj rozmiar.

Może ciekawa czytelniczka zechce wiedzieć, jaka nagroda za znalezienie kamienia była dla tych biedaków? Ten, który znalazł kamień przynajmniéj $17^1/_2$ karata ważący, ozdobiony został wieńcem z kwiatów i odprowadzony do dozorcy, tam dostał nowy ubiór i został wolny. Ale jakże rzadko taki szczęśliwy zdarzy się wypadek, jakże przykremi były dla nich nadzieje zawiedzione, jeżeli cokolwieczek brakowało tylko do wagi. Za kamień od 10 karatów dostawał znalazca dwie koszule, kapelusz, za mniejsze nóż lub jaką inną drobnostkę.

Z odkryciem platyny w Uralu w roku 1823, powzięto nadzieję, że i tam są djamenty, jakoż znaleziono w sześć lat późniéj jeden, a dotąd dopiero w ogóle 37 sztuk lecz małych. Nadzieje że w obfitujących w złoto okolicach południowéj Ameryki i Australii djamenty się znajdą, dotąd pozostały próżnemi.

Całą swą piękność djament winien sztuce, bo w naturze bardzo rzadko się trafia, ażeby miał połysk. Przed 400 dopiero laty odkryto, że djament można szlifować. Dawniéj te tylko miały wartość, które już w naturze miały prócz pięknego kształtu i połysk. Inne nie miały łaski u ludzi, jako proletariusze nieokazałego widoku skazane były do pracy. Za czasów jeszcze rzymskich używano proszku z djamentu do szlifowania i polerowania innych kamieni, ale ażeby djament swym proszkiem mógł być oszlifowany, o tém ani pomyślano. To odkrył dopiero przypadkiem Ludwik Berguem z Flandryi, który nie był wcale złotnikiem, lecz bawiąc się raz dwoma naturalnemi djamentami, na jego wielkie zdziwienie spostrzegł, że się ocierają i nabierają połysku. Pierwszy, który oszlifowany djament posiadał, był Karol Burgundzki, a ten kosztowny kamień razem z innemi klejnotami został zabrany jako zdobycz przez Szwajcarów w czasie bitwy pod Murten.

Sztuka szlifowania djamentów, zapomocą któréj nabiera on dopiero okazałości i wartości, udoskonaloną najprzód była w Antwerpii, późniéj w Amsterdamie założono na wielką skalę szlifirnie i prawie tamże wyłącznie ze wszystkich stron przysyłają do obrabiania kamienie. Około 10 tysięcy ludzi jest zatrudnionych przy tém zajęciu. Rocznie w obiegu handlowym djamentów jest 43 miliony reńskich, z których $1^1/_2$ miliona strącić należy jako zapłatę za robotę. W Amsterdamie znajduje się pięć szlifirni, z których dwie należą do prywatnych osób, reszta jest własnością handlarzy djamentami. Jedna z fabryk prywatnych ma parową maszynę o sile 6ciu koni, która 60 kamieni w ruch wprawia; druga ma maszynę o sile 40tu koni i porusza 72 młyny. Reszta fabryk ma także parowe maszyny poruszające 328 młynów. W Antwerpii jest teraz już tylko jedna maszyna o 30tu koniach. Różnica między fabrykami jest tak wielka, że znawca zaraz rozpozna czy kamień był obrabiany w Antwerpii czy też w Amsterdamie, rozpoznają oni po sposobie łupania kamienia, zapomocą którego wydzielają z niego wszelkie skazy. Muszą przytém uważać na pokłady kryształu, a że wartość djamentu zależy od jego wagi, wielkiéj więc potrzeba ostrożności, ażeby zanadto téj wartości nie

obniżyć. Robotnicy, którzy posiadają zręczność w łupaniu, są bardzo poszukiwani i dobrze płaceni.

Po oszlifowaniu rżną kamień, a potém polerują. Rznięcie robią zapomocą dwóch rączek drewnianych. W każdéj jest przymocowany djament, dopiero nad pudełkiem, do którego proch wpada, trą się obopólnie, ażeby kanty powstały; po takiém dopiero obrobieniu, biorą się kamienie do młyna do polerowania. Dookoła wielkiéj sali są siedzenia dla robotników, przed każdém siedzeniem są okrągłe płyty metalowe, które maszyna parowa z nadzwyczajną szybkością obraca w poziomym ruchu. Krótki żelazny hebel oparty jednym końcem na ławce, drugim służy do przyciskania kamieni; ciśnienie to robią albo ręką, albo zapomocą powieszonych na heblu ciężarków. Do hebla przymocowuje się kamień zapomocą cyny do lutowania w ten sposób, ażeby tylko ta część dotykała się młyna, którą się ma szlifować. Potém robotnik bierze szczyptę proszku djamentowego, posypuje na płycie i zwilża paru kroplami oliwy. Zręczny robotnik poleruje czasem sam jeden trzy kamienie naraz, co trudną jest rzeczą, bo szlifują tak małe kamienie, że ich potrzeba 1500 — 2000 sztuk na jeden karat.

Według kształtów jakie djamentom przy szlifowaniu nadają, nazywają się: brylanty i rożety. Rożety są zupełnie pojedyncze, spodnia ich część jest zupełnie płaską, wierzchnia liczy 24 kantów (facetów), z których każda trójkątną przedstawia powierzchnią. Brylanty są podwójnie kuliste, a największa ich średnica ma dwietrzecie całéj wysokości.

Celem szlifowania brylantów jest nadanie im więcéj mocy gry kolorów, co w zupełności osiągnąć można przez nadanie kształtu brylantom. Dla tego téż tę formę nadają tylko najpiękniejszym kamieniom, zupełnie czystym bezbarwnym, albo nieco kolorowym, mniejszéj wartości kamienie mają kształt rożet. Kardynałminister Mazarini był najpierwszy, który dwunastu djamentom kazał nadać formę brylantów. Kamienie te należą do klejnotów korony francuzkiéj, i noszą nazwisko 12tu mazarynów.

Jaką wartość otrzymują djamenty przez nadany im kształt w szlifowaniu i o ile to podnosi cały ich połysk, można to było osądzić na wystawie londyńskiéj, patrząc na wielki djament Koh-i-nur. Djament ten mający kształt jaja, jako własność królowéj Wiktoryi, w najkorzystniejszém umieszczony był świetle, ale szlifowanie tego kamienia jest tak niekorzystne, że niczém nie różnił się od zwykłego kryształu.

Przy kupnie wielkich djamentów w stanie natury, rachują stratę połowy jego wartości.

Nie wszystkie djamenty są bezbarwne, ale są także niebieskawe, czerwone, żółte, brunatne, czarne, przezroczyste, nieprzezroczyste, ztąd też i wartość ich zależy tak od koloru jak i od kształtu szlifowania. Djament w stanie natury jeżeli dobrym jest do szlifowania, płacą za jeden karat 18 reńskich (rachują 72 karaty na jeden łut). Cena djamentu czystéj wody, ważącego jeden karat, płaci się za rozetę 85 reńskich, za brylant 129 r. w. a. Djamenty pół łuta ważące tj. mające 36 karatów należą do rzadkich i wszystkie z wyjątkiem tylko gwiazdy południa i drugiego o 95 karatach, będącego własnością korony portugalskiéj, pochodzą z Indyj zachodnich.

Kto w Europie ma największy djament, jest rzeczą wątpliwą, djament turecki waży 4 łuty 288 karatów. Moskale wprawdzie głoszą, że posiadają djament największy, który Katarzyna II. kupiła w roku 1772 za 900,000 rubli, i krom tego płaci roczną rentę dla familii 8 tysięcy rubli. Utrzymują oni, że waży 11 łutów. Rzecz jednak dziwna, że nie pokazują takiéj osobliwości, ten bowiem, który pod nazwą Orłow okazują, waży 196 karatów, a więc tylko 2¼ łuta, ma on postać połowy gołębiego jaja i nie jest pięknym, gdyby go dano szlifować, bardzo wiele straciłby musiał z swéj wagi. Austryja ma djament o 139 karatach wagi, potém następuje francuzki Regent zwany i ma 136 karatów, należy on do najpiękniejszych. Dziadek Pitta hrabia Chatham gubernator angielski w Madras kupił go w Indyjach zachodnich za 20 funtów szterlingów i sprzedał go Regentowi za 125 tysięcy funtów. Przybywszy do Europy zanim go sprzedał, nosil go w obcasie swego trzewika. Dziś cenią jego wartość na 6 milionów reńskich. Angielski djament Koh-i-nur (góra światła) ważył 254½ karata, ale po wystawie londyńskiéj dany do powtórnego szlifowania, waży teraz tylko 102 karaty, ale za to bezsprzecznie jest najpiękniejszy od wszystkich innych. Historja tego djamentu sięga czasów indyjskich wodzów Vikramaditra 56 lat p. n. Chr., a nawet i daléj jeszcze, bo do bajecznych czasów Kriszna. Bywał on zawsze własnością zwycięzcy, wreszcie dostał się w ręce kompanii indyjsko-zachodniéj i ci darowali go królowéj Wiktoryi. Ze skarbów więc Lahore przeszedł ten talizman indyjski, co przez tysiąc lat błyszczał nad indyjskiemi dynastyjami, do skarbca Windsor, i przez obrobienie nowe jest znów ozdobą Tiary indyjskiéj. W Indyjach jednak zawsze przechowują podanie, że ich prawdziwy talizman jest ukryty w ich kraju.

Wielkie ceny jakie płacą za djamenty, zachęciły wielu do robienia prób, ażeby otrzymać sztuczny djament, i byłoby to rzeczywiście zyskowne, bo znalezienie djamentu w stanie natury, nie mało za sobą pociąga kosztów. Zależy tu głównie na tém, ażeby gaz węglowy skrystalizować, ile łatwo jest o tém dziś wiedzieć, o tyle jednak trudném do wykonania. Krystalizacją uskuteczniłby można dwoma sposobami, przez stopienie albo rozpuszczenie. Jedyne rozpuszczenie gazu węglowego dzieje się przy topieniu żelaza, ale i tu oddziela

się on przy oziębieniu nie w kształcie djamentów i bezbarwnym, ale czarny i listkowaty jak grafit. Roztopić zaś gaz węglowy, nie jest tak rzeczą łatwą.

Wprawdzie przed 30tu laty w Ameryce rozgłoszono, że osiągnięto już sposób topienia węgla, co do zrobienia djamentów bardzoby już łatwą było rzeczą. Ta rzecz o tyle zasługiwała na uwagę, że była rozgłoszoną przez znakomitego chemika. Jednak że ludzie mogą się zawsze mylić, ztąd téż możebném to jest i dla profesorów. To co przy topieniu uważano za węgieł, było tylko cząstkami jego popiołu. Można wprawdzie przez użycie nadzwyczajnych środków, przez prąd elektryczny gaz węglowy topić, ale nie wiele ztąd można sobie obiecywać, by na téj drodze djamenty otrzymywać. Pokazało się bowiem, że tak węgiel topiony, jak téż i djament niczém innėm nie są jak grafitem. Najlepszy dotąd rezultat osiągnął Desprez, przez wolne działanie prądu elektrycznego. Wystawiwszy węgiel na takie działanie prądu, przez miesiąc czasu krystalizował węgiel, i takiego używają do szlifowania rubinów, zamiast proszku djamentowego; ale te wszystkie kryształy, jakie tą drogą otrzymują, są tak małe, że tylko przez drobnowidz (mikroskop) rozpoznać je można, że to są cząstki djamentu. Są wprawdzie pomiędzy niemi niektóre większe i bezbarwne, ale w małéj bardzo liczbie, większa ich część jest koloru czarnego.

(Dok. nast.)

Wiadomości bibliograficzne.

Poezje *Kornela Ujejskiego* — nowe wydanie z wyboru autora. — Lipsk, Brockhaus, 1866. 2 tomy. — W porę, bardzo w porę przychodzi nam ten zbiór dzisiaj wśród takiéj posuchy uczuć pełniejszych i wypadków prawych, ze prawie krzyczeć nam trzeba wraz z Hagarą na puszczy: ....„och wody, och rosy, kropelki choć dżdżu“ (str. 179). Znamy i śpiewamy wszyscy pieśni naszego Jeremiasza, skargi straszne i jęki ostatnie, od których bieleje włos. Ale krwawa nić boleści ciągnie się daléj i ciągle nowym pokoleniom mogiły są kolebką; toż potrzeba im pokarmu, potrzeba żeby im nie zabrakło pieśni poety, którego pieśń nie pieluchą, lecz ostrogą, potrzeba żeby ciągle odbrzmiewał śpiew jego:...

„Ach pokochałem tak ojczyznę piękną,
Że mnie się kiedyś aniołowie zlękną,
Jeżli przed niemi moja dusza wyzna:
Że mi nad niebo milszą jest ojczyzna“... (str. 102.)

potrzeba, żeby ciągle powtarzano:...

„Jeruzalem, Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twéj męce nie poświęcę każdéj mojéj łzy,
Jeżli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem,
To mnie przeklnij i zapomnij matko Jeruzalem“... (str. 236.)

Poeta opuścił w tém wydaniu wiele pieśni, które lubo nie na Jeremiaszową nutę wyśpiewane, jednak równie są piękne i równie lubione — za to jest wiele nowych z ostatnich lat, jest potężny ustęp ze „Samsona“, z którego opowieścią:... „Rozdarłem lwa“.... chyba strofy greckich dramatów da się porównać.

A do czyich rąk przeznaczony jest ten zbiór, tak mówi autor na czele: „Zmarłym za Ojczyznę, Żyjącym dla niéj — co jest z bólu i z wiary polskiéj w moich poezjach, poświęcam“.

— U Żupańskiego w Poznaniu wyszła nowa praca ***Bolesławity*** p. t.: **Rachunki z r. 1866**, obejmująca następujące działy: Wstęp. — Rzeczy ogólne. — Stan obecny. — Sztuka przerabiania narodów. — Polska i Moskwa. — Galicyja. — Polska pruska.— Wychodźtwo. — Sybir. — Dziennikarstwo. — Literatura. — Teatr.— Sztuka — Mogiły. — Henryk hr. Rzewuski.

Tytuły rozdziałów dadzą najlepiéj Czytelniczkom naszym wyobrażenie o całości dzieła; a choć rachunkom tym brak często matematycznéj ścisłości, to jednak pełno znajdzie się tam uwag trafnych i słusznych zarzutów. Jest znowu wiele rzeczy, na które zgodzić się trudno, wstrzymujemy się jednak od uwag, bo sąd o sądzie zaprowadziłby nas może za daleko na pole dysputy, dla któréj za ciasne są ramy naszego pisma.

— W piątek d. 26. rozpoczął się dalszy ciąg wykładów, na korzyść Tow. wzajemnéj pomocy akademickiéj. Rozpoczął Dr. Oettinger, o którego odczycie w następnym numerze podamy sprawozdanie. Zaś w poniedziałek, środę, piątek i następny poniedziałek, będzie miał odczyty p. Kraszewski, o „Dancie“ i jego poemacie.

— **Ojczyzna zapachów.** Główną rodzinną krainą kwiatów, których zapachy rozchodzą się z flakonów toaletowych, jest południowa Francyja i Piemont, mianowicie: Montpellier, Grasse, Nismes, Cannes i Nizza. Ostatnie dwa miejsca są rajem fijołków; — rocznie wydają około 13,0)0 funtów fijołkowego kwiecia. Nizza dostarcza prócz tego około 100,000 funtów kwiecia pomarańczowego, tożsamo Cannes, gdzie toż jest pełniejszéj woni. Pięćset funtów kwiecia pomarańczowego dają 21 funtów olejku Neroli. Olej z niedojrzałych jeszcze pomarańczy ma nazwę: „Essence de petits grains“, — olej z łuski dojrzałego owocu nazywa się: „Essence de Portugal“ — z czystego dopiero kwiecia nosi nazwę: „Neroli“. Następnie przychodzi także z Cannes do 9000 funtów rocznie kwiatu akacyjowego.

W parfumerjach zastósowaną jest destillacja. Jedna taka fabryka w Cannes spotrzebowała w jednym roku 140,000 funtów kwiecia pomarańczowego, 20,000 fnt. kwiatu z akacyi, 140,000 fnt. jasminu, 20,000 fnt. fijołków a 8000 fnt tuberosów, kroni mnogiéj ilości innych roślin i ziół pachnących.

Czynność, wśród któréj zapomocą tłuszczu chwyta się lotne oleje i woniejącą treść kwiecia, zowie się: „Enflourage“. Kładzie się kwiaty na sita włosiane, jedno nad drugiém ułożone, wśród których leżą warstwy tłustego ciała, — a te powoli w téj atmosferze kwiatów nasycają się zapachem. Sposób ten jest jednak za drogim i powolny, a przytém z powodu dłuższego czasu, wśród którego ta operacyja się odbywa, ginie pewna część zapachu. Według innego sposobu kwiaty przedzielone warstwami miękkiego tłuszczu zamyka się w szafie, opatrzonéj przegródkami, przy zachowaniu łagodnéj ciepłoty, — a tam po paru już godzinach ukończone jest zawonienie, *enflourage*.

Korespondencja „Kaliny“.

Hrabiemu **Z. B. P. S.** „Tęsknota“ pańska w „Kalinie“ drukowaną być nie może. — **N. N.** wierszyk *Do**** mógłby tylko w inseratach być umieszczonym i to tylko w razie, gdyby format naszego pisma był obszerniejszy. — Pieniądze można odebrać.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.